Nie wiedziałam, jak skończy się moje lato, ale wiedziałam, że na greckiej wyspie, na której zatrzymał się czas. To banał, bo czas nie zatrzymuje się nigdzie. Czasem wystarczy jedna decyzja, drobny gest i wszystko podąża w jednym kierunku.

Salamina, niedaleko Pireusu, to szczęśliwa kraina, wierzyłam święcie. Natrętna myśl odkładała się, wymykając się racjonalności. Nic nie odstraszało, nawet fakt, że sławę zawdzięcza, będąc, w przeszłości, miejscem odosobnienie dla chorych na cholerę. Uwięzieni mówili o niej: *mamy dożywocie w raju* i to ostatecznie mnie przekonało.
Pomysł na ostatnie chwile wakacji wywoływał uśmiechy, ale każdy ma wolną wolę. Chciałam poznać Salaminę, bez reszty, dotknąć. Na samą myśl o spotkaniu rozpierała radość. Na ścianie pokoju zawisła stosowna mapa i grafik podróży z najdrobniejszymi szczegółami.

W nocy poprzedzającej wylot z Gdańska tłukłam się po mieszkaniu, ale nic nie mówiłam, bo mój wstyd nabierał czerwonej barwy. *Która dziewczyna przy zdrowych zmysłach, goniąc marzenia, włóczy się po obcym kraju, o którym tak niewiele wie. Trudno zrozumieć kobiety*— komentował z wyrzutem mój mąż. Na plecach czułam ciężar jego spojrzenia. *Ale skąd wiadomo, co jest właściwe*?

Cóż, nawet w przypływie szaleństwa trzeba się trzymać prosto do końca. Rankiem wsunęłam bilet w kieszeń kurtki i ruszyłam w drogę, zapominając o życiu, w którym drą się pończochy. W samolocie wrócił beztroski uśmiech, rozszalała się wyobraźnia, powoli wychodziłam na scenę.

****

Łódka, którą płynęłam na Salaminę wyglądała, jakby miała się rozpaść tylko od wrzasku mew. Fale wściekle rozbijały się o przybrzeżne rafy. Morze wyło. W zaimprowizowanym porcie nikt na mnie nie nie czekał. Zaczerpnęłam powietrza, to nie był sen.

Szyld hotelu straszył napisem, niechlujnie namalowanym niebieską farbą. Litery ścieśniały się niby pasażerowie czekający na szalupę ratunkową. Ponure wnętrze hotelu godziło funkcję restauracji i jedynego sklepiku w okolicy. Zapewne w nim, opaleni chłopcy, o umięśnionych plecach, kupowali prezerwatywy na sztuki. Pokój przedstawiał równie żałosny obraz. Na środku wielkie małżeńskie łoże, goła żarówka wisząca pod niebieskim sufitem, małe okna bez zasłon. Oszczędny wystrój łączył w sobie wszystko, czego właściciele nie chcieli mieć we własnym domu. Mijając, miejscowi szeptali o mnie - *cudzoziemka.*

Na początku nie działo się nic, czas przepływał spokojniej niż piasek w klepsydrze. Gdakanie kur, skrzypienie kół wozów, wbijania gwoździ, pokrzykiwania ludzi, pomruki starców oblepiających hotelowy bar. Z ich palców, twardych jak skorupy krabów, sterczały papierosy. Palili bez przerwy, czarny dym gryzł w oczy. Gdy nuda dawała się we znaki, zdarzało się im zagadać. Ich delikatnie uśmiechnięte twarze jawiły się płaskie jak na posągach Buddy. Litościwe spojrzenia przenikały na wskroś. Spore pole do interpretacji i zero reakcji z mojej strony. Bojąc się przypadków, dalej sączyłam czarną jak smoła kawę, popijając ją chłodną wodą.

Noc była użyteczna. Leżąc w ciemności, z zamkniętymi oczami, wsłuchana w głos ptaków, modliłam się. Bo, z kim miałam porozmawiać? Jemu powierzałam najskrytsze myśli. Niepokój i trwoga znikały, a to, co kiedyś uważałam za istotne, traciło znaczenie.

Trzeciego dnia, po raz pierwszy odkąd moja stopa stanęła na Salaminie, pobiegłam nad morze. Prowadziła matowa ścieżka wśród suchych traw, brzęczały zmęczone upałem owady. Słoneczny blask kłuł w oczy, przez okulary. Otoczona przez wzgórza kamienista plaża otwierała turkusową, bezkresną przestrzeń wody. Na horyzoncie majaczyły burty statków i mocne ramiona dźwigów. Leżałam, pływałam, rosła kolekcja muszli. I rozkoszowałabym się tym rajem dłużej, gdybym podczas radosnej kąpieli nie usiadła na jeżowcu. Bolało, bardzo.

Popołudniami, od bandy dzieciaków, rządzących plażą, po długich negocjacjach, dostawałam upragniony dostęp do kajaka. Mieniące się wszystkimi kolorami skały kusiły. Bez opamiętania trzaskałam zdjęcia. Szczęście trwało krótko, gdyż okazało się, że telefon nie jest wodoodporny.

W pobliskich gajach oliwnych wszystko toczyło się bezgłośnie i gładko. Upajałam się ich zapachem, zapominając kim jestem. To był inny świat. W jednym zbudziłam zająca, wielkiego jak buldog. Zrobił zaciekawioną minę, zastrzygł uszami i czmychnął w krzaki. Dopiero zorientowałam się, że jestem w tutejszym lesie, tylko kilkaset kroków od centrum wsi.

Wypuszczałam się coraz dalej. Zabierając głębokie przekonanie, że kto, jak kto, ale ja wymknę się każdemu niebezpieczeństwu. Pojawiła się niepewność, gdy na horyzoncie pojawiły się dwie sylwetki dojrzałych mężczyzn. Zbliżali się szybko. Dojmujące uczucie, zdałam sobie sprawę, że nic nie wiem o strachu. Zniknęli w pobliskim wąwozie. Ulżyło. Z daleka mogłam wyglądać na chłopaka, biust mam skromnych rozmiarów, a Greczynki na Salaminie nie chodzą w krótkich spodniach i nie noszą słomkowych kapeluszy.

Pogodne dni nagle się skończyły, chmury objęły niebo w posiadanie. Deszcz lał się rzeką. Nie tracąc ducha, spałam, czytałam, w kółko tą samą książkę lub rozpamiętywałam głębię swojej samotności. Z pokoju wypędzał głód, kolacji z zasady nie jadłam, za wannę służyła umywalka.

Trzydniowy deszcz wreszcie ustał. Przez brudne okno wcisnął się jasny promień słońca, zapraszał na wędrówkę. *A gdyby tak pójść na skaliste wzgórza? Podobno nawet błoto otwiera drogi 1.* Nie zastanawiając się dłużej, pchnęłam mokre drzwi hotelu. Z pobliskiego gaju dobiegał ogłuszający śpiew ptaków. Przez strzępy wilgotnej mgły prześwitywał błękit nieba i morza. *Chyba przesadzam z tym strachem*, *wystarczy się wspiąć*, pomyślałam. Długo wybierałam drogę, tak by nie tracić z oczu morza i wybrzeża. *Buty grzęzną w błocie, trudno.* Pragnieniem było, żeby dogonić człowieka, ale nie znajdowałam śladów stóp. W białych kościółkach położonych na szczytach skał tylko tłoczyły się białe świece i ikony. Między skałami rosły drzewa i krzewy pokryte białym kwieciem. Ślizgając się po zboczu, dotarłam do najbardziej wysuniętego w morze.

Wokół panowała cisza. Nie odbiłam się od klasztornych drzwi, odwrotnie zakonnica potraktowała mnie jak niewidomą na przejściu dla pieszych i pozwoliła odpocząć. Słuchałam jej powitalnych słów nieco oszołomiona. *Bądź wola, Twoja Panie,* wyszeptała. *Czemu chodzisz sama?* Pytając, uśmiechnęła się serdecznie. Była to pierwsza piękna rzecz, jakiej dane było mi doświadczyć tego dnia. Trafiłam do miejsca, którego nikt nie odwiedza, gdzie wskazówki zastygły w oczekiwaniu na coś, czego do końca nie pojmowałam. Nie wiem, czemu zakonnice skojarzyły się z krukami, przecież doświadczyłam od nich wielu dowodów życzliwości i gościnności, biła od nich jakaś boskość. Usiadłyśmy z zakonnicą na płaskiej skale

nad samą wodą, chłodne wino z wodą gasiło pragnienie. Smak suszonych ryb i słodkich, ciepłych od słońca granatów pieścił podniebienie. Na czarnym morzu huśtały się mewy. Długa rozmowa o tym, o czym powinno się rozmawiać w takich miejscach. Z oczu rozmówczyni wyzierał smutek, trudno było powiedzieć, o czym myślała. W nabożnym śpiewie odbijało się echo tęsknoty za czymś nieodgadnionym. Drążenie nie miało sensu, bezwiednie sprawdzałam strukturę nieba. Bóg siedział wysoko z założonymi rękami, też odpoczywał. Nasilający się łoskot fal skłonił do powrotu do hotelu.

Na dole, u stóp wzgórz, nastawał czas ciepłego chleba, kalmarów, małży i słodkich pomidorów, ale nic nie było w stanie osłodzić wrażenia. Niby ten sam świat, ta sama wyspa, nawet powietrze miało inny zapach. Pojawiły się nowe obrazy, studząc entuzjazm. Patrzyłam, nie dowierzając. Ciarki ślizgały się po żebrach, wcześniej rzeczywistość nie docierała z taką siłą. W chaszczach buszowały stada dzikich kotów. Psie budy dawno porosła trawa. Podwórka zdobiły dziurawe łódki i rdzewiejące rowery. Potknęłam się o węglarkę napełniona sadzą. Płoty i kable niemal trącały ziemię, kruszyły się schody. Opuszczone betonowe domy, bez okien i drzwi ziały pustką. W ruinach szeleściły jaszczurki. Wokoło wiele pustych, niedokończonych budynków, straszyło smutnymi szkieletami, porażał dźwięk drgających na wietrze skrawków porośniętej szarym mchem blachy. Wiedziałam, dlaczego. W Grecji nie płaci się podatku od nieruchomości, dopóki nie ma dachu. Niewielki zielony skrawek wyspy podpowiadał jak piękną, dostatnią i waleczną była kiedyś ta wyspa. Persowie uciekali, gdzie pieprz rośnie. Później Salaminę nazywano *koulouri*, czyli… obwarzanek. Ktoś, kto na to wpadł musiał mieć niezłą wyobraźnię, albo był bardzo głodny. Przed hotelem siedziało czarnookie dziecko. Niemowlęcia pilnował pies o wychudzonym pysku. Kwiliło, turlane psim nosem po dywaniku z wyschłej trawy. Z daleka to nie wyglądało to na zabawę, dopiero szczere spojrzenie ślepi zwierzęcia uspokoiło. Po chwili prawie całowałam klamkę drzwi hotelu. Noc i samotność splotły się w jedno.

Nazajutrz przyjechali *obcy w garniturach.* Gniewne głosy zmąciły poranną ciszę, mieszając się z lamentem kobiet i tupotem nóg. Wyskakując z łóżka, jeszcze o nie znałam przyczyny zamieszania. Spłoszona hałasem przycisnęłam twarz do szyby. Do uszu dobiegało nieustające szczekanie psów, w spokojne dni było ono czymś naturalnym, ale teraz odbierałam je inaczej. Miejscowi biegali bezładnie, jakby w popłochu. *Dzieje się coś niezwykłego*, zaświtało w głowie. Byłam pełna złych przeczuć. *Nie ma co dłużej medytować*, pomyślałam naciągając pospiesznie spodnie i sandały.

— Nie wygląda to na sąsiedzkie spotkanie. O co tu chodzi*?* — pytałam sama siebie, zbiegając po schodach.

Bar straszył pustką. *Gdzie oni się pochowali?* Nagle uświadomiłam sobie własną bezsilność i ogarnął mnie lęk. Nie wiem, jak długo stałam w bezruchu, do głowy nie przychodził żaden rozsądny pomysł.

— Pierwszy raz na Salaminie? — usłyszałam za plecami. Gwałtownie się odwróciłam.

Stojący w drzwiach stary Grek uśmiechnął się. Nic więcej nie powiedział.

Próbowałam się jeszcze czegoś dowiedzieć, ale na próżno. Grecy nie mają potrzeby zwierzania się. Postanowiłam wyjść z hotelu. Siedząca na progu kobieta ściskająca w dłoni różaniec coś mamrotała. Gdy ją mijałam spojrzała na mnie przerażonymi oczyma. *Po co mieszać w to Boga?* Miałam wrażenie, że znalazłam się na końcu świata. Moja wiedza ograniczała się do tego, co dotąd zobaczyłam i usłyszałam. Poza roztrzęsioną kobietą nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Nie wiedziałam, co z sobą począć, byłam oszołomiona, głodna, chwilami zachowywałam się irracjonalnie. Przełażąc na miękkich nogach przez dziurę w płocie, skręciłam w lewo na asfaltową drogę. Nie zwalniając kroku dotarłam na wschodni skraju

lasu. Stamtąd było widać jak na dłoni całą okolicę. Łzy zwilżyły policzki.

Około południa urzędnicy opuścili wyspę. Nastroje wśród miejscowych zaczęły się chwiać, podnieceni głośno wymieniali się komentarzami, oczy im błyszczały jak u zwierząt. Mała Greczynka postawiła przede mną połamany koszyk z dwoma pomidorami na dnie. Nie odwzajemniłam uśmiechu, z nieba lał się żar, pot kapał do butów. Ze zwieszoną głową, słuchałam w milczeniu ożywionych męskich dyskusji. Wiele słów raniących uszy od razu spychałam w niepamięć. Pozostało pytanie, w jakim celu *obcy* przyjechali. Po jakimś czasie część *moich* Greków ruszyła do swoich zajęć, jakby nigdy nic, każdy w swoją stronę. Nikt nie już krzyczał, nie wymachiwał rękami, patrzyłam na rozluźnione twarze mężczyzn i kobiet, prostowanie pleców. Psy ujadały, piały kogut, krzewy i drzewa tonęły w gęstym świetle, ciepłym i uspakajającym. Wydawało się, że życie powraca do normy, gdy nagle od ściany hotelu odkleił się ubrany na czarno, stary, brodaty Grek, na oko greckokatolicki kapłan. Wcześniej umknął mojej uwadze. Podszedł do grupy młodych mężczyzn, wyrzucając z siebie potok słów, brzmiało jak kazanie. Słuchali go z nabożeństwem. Wzbudzał dziwny respekt, nikt nawet nie zakasłał. Nie ruszyłam się z miejsca. Ciekawość okazała się silniejsza. Do mojej kryjówki dochodziło co drugie słowo. Wpatrywałam się w jego usta, by cokolwiek zrozumieć. *To nie modlitwa, chyba złorzeczy,* przemknęło. Scena napawała niegasnącym zdumieniem, nie było to miłe uczucie. W pewnym momencie napięte nerwy nie wytrzymały, ogarniało znużenie, straciłam cierpliwość, wychodząc z cienia, potknęłam się o wystający z ziemi korzeń. Moje pojawienie się wywołało na zarośniętej twarzy nieprzyjemny grymas, wskazał mnie palcem, nasze spojrzenia spotkały się. *Już cię tu nie ma, kobieto,* wyczytałam w zmrużonych oczach. Instynktownie pojęłam, że nie jestem mile widziana. *Niedobrze,* podpowiadał wewnętrzny głos. Bez namysłu, z sercem w gardle puściłam się pędem w stronę hotelu. Nie mogłam zebrać myśli, to wszystko nie mieściło się w głowie. *Co za ciemnota! Żeby w demokratycznym kraju ludzie byli tak ślepi i głusi,* pomyślałam spanikowana. I tu sobie przypomniałam, że czytałam o odstępcach, byłych mnichach, wykluczonych z kościoła, wdzięcznego narzędzia greckiej propagandy... Ich psychika przypomina upadłe anioły, które chcą skusić do grzechu wiernych Bogu.

— *Nie mnie to oceniać. Nic nie jest czarne, ani białe* —wysapałam.

Rozkojarzona otarłam pot z czoła, wbrew woli zadrżały kolana. Przemknęła myśl: *oto moja szczęśliwa wyspa.*

Chciałam jak najprędzej od niej się uwolnić. Podczas, gdy płaciłam za pobyt, właściciel coś próbował mgliście tłumaczyć, trudno było mi się skupić, w końcu zniecierpliwiony machnął ręką. Do łodzi odprowadzała mnie straż tylna, znajomy, chwiejący się nogach starzec, wymachujący biczem, którym zwykle pędził krowy. Mijające nas kobiety, niosące pod pachą chleb, milczały. *Daj mi wody,* rzuciłam do chłopca przy wiosłach. Otworzył zaspane oczy. *Ateny są blisko*, usłyszałam w odpowiedzi. Odwróciłam głowę, łódź stopniowo zmieniała kierunek. W oddali majaczył prom. *Co ja tu robię, co cię idiotko podkusiło?* To była straszna myśl, nagle wszystko wydało się absurdem. Nikt mi nie odpowiedział, nad łodzią spomiędzy brudnych chmur wyzierało jasne słońce, w jego promieniach skrzeczało stado ptaków.

Zebrałam jasność, by widzieć w nocy, zebrałam radość, by udźwignąć smutek, zebrałam myśli, by przetrzymać zwątpienie, napiszę, zapewne nie ubędzie mi słów, a potem zapomnę, pomyślałam, wsiadając do samolotu.

---

1 - *wiersz, "Nie wiem, co będzie gdy pójdę dalej", imre*

1 - wiersz1
1 - wiersz

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JOLA S., dodano 15.01.2018 21:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.